ZBIORY OŚRODKA KARTA

ROK PRZYSZŁY...

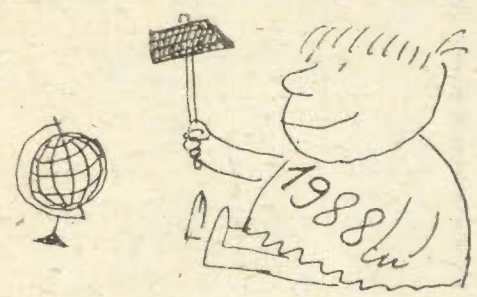

ROK PRZESZŁY...

STYCZEŃ

Rzym. Generał Jaruzelski przy fontannie di Trevi. Niestety, monety ktoś już wybrał.

Kadafi dał sobie trochę czadu.

Wietnam. To idzie młodość, młodość... Trough Chinh, lat 79 na Nguyen Van Linh, lat 72. Pham Wam Dong, lat 80 na Phui Hui, lat 78. Le Buc Tho, lat 76 na Vo Chin Cong, lat 74.

Kabul. Władze poniały, pojednały i pojmały.

Nikaragua. Głasnost'. Ortega głośno konstytuuje, gwałci, głosi i wzywa. A może w odwrotnej kolejności?

LUTY

Rumunia. Jasnost'. Trzeba wygasić żarówki powyżej 15 W. Za to Causescu jest oświecony.

"Jedyny w wyborach nieważny głos był również za albańską drogą do komunizmu" - oświadcza Radio Tirana.

Rewolwerowiec Reagan cofa sankcje. Znowu nam coś zabiera...

Czy portret Wyspiańskiego pomoże? Chociaż sytuacja jest dramatyczna...

MARZEC

Słoneczko wyżej, reforma bliżej. Ceny też wyżej. Ciśnienie spadło.

"Papieska wizyta będzie miała charakter wyłącznie religijny" - sądzi Pinochet.

Radziecka wizja i foniá. Również radziecki może być odbiornik. Rzecz ma miejsce w Bapuabe.

KWIECIEŃ

Jaser Aerofłot gniewa się na Egipt, Syrię, Palestyńczyków, Irak, Libię, Jordanię, Arabię Saudyjską. Bez komentarza na temat Izraela.

"Wywabianie białych plam . Prywatna Inicjatywa Odgórna z Bardzo Ograniczoną Odpowiedzialnością.

Gorbaczow i Jaruzelski"

"To nie jest Ameryka" - konstatują po nocnych zmaganiach z KGBistkami *marines* strzegący ambasady USA w Moskwie. Noc usatysfakcjonowała tylko jedną stronę.

MAJ

"To jest Ameryka?!" - pyta senator Gary Hart, wycofując się i dyskretnie chowając za pas resztki damskiej bielizny.

"Słowo chonoru, że PRL nie dostarczała broni dla *contras*" - deklaruje Jerzy Urban.

Dość duży ruch w powietrzu. Obywatel RFN do Moskwy, obywatel sowiecki do Szwecji, generał kubański do USA a premier Libanu do nieba. Myśliwiec radziecki niechcący upuszcza koło Legnicy pocisk - pocisk przypadkowo trafia we fregatę USA na Zatoce Perskiej.
Niestety - u nas uległa zmęczeniu śrubka. My nie ulegniemy zmęczeniu.

CZERWIEC

Panu Przewodniczącemu Rady Państwa trzęsą się ręce, drży głos i poci się potrójny podbródek. Ojciec Święty upomina.

Ludożerca, były cesarz Bokassa skazany i zjedzony.

W Seulu zawody przedolimpijskie. Na razie strzelectwo, rzuty granatem gazowym i bieg przez barykady.

LIPIEC

"Prędzej ty pękniesz serce moje, niż pęknie Ollie /North/".

"Radzieckie okręty w Zatoce Perskiej walczą o pokój, amerykańskie bronią ekspansji kapitalizmu" - oświadcza agencja TASS

Granice pokoju i postępu są otwarte dla ideologii. Gorzej z turystami.

Proces w Czernobylu. Przestępcę przywozi się na miejsce zbrodni. Na wszelki wypadek pozwolono mu najpierw głęboko pooddychać.

SIERPIEŃ

Pierestrojka w Bułgarii. Zlikwidowano pomnik Żiwkowa. Żiwkowa jeszcze nie.

Litwa, Łotwa i Estonia chciałyby odłączyć Związek Radziecki. Związek Radziecki prosi o odroczenie decyzji.

Czy nie można by pożyczyć panu Urbanowi paru dolarów z dotacji Kongresu?

Filipiny. Eks-prezydent Marcos oświadczył, że rozmawia z Bogiem. Pani Aquino ma pewne kłopoty.

c.d. str.2

PROMIENISTI

Kraków 18.I.1988r. Nr 7-8 (101-102) Rok VI

Zastanowił się.

- Czy odpowiadałby mi termin "realizm", pojmowanie literatury jako tego zwierciadła, przechadzającego się po gościńcu? Musimy jedną rzecz sobie wyjaśnić. Realizm to pojęcie bardzo szerokie. Realizm jest dla mnie punktem wyjścia do każdej literatury - nawet do literatury Kafki. Literatura powstaje gdy ma się za sobą doświadczenia i obserwacje życia, kiedy te doświadczenia są silne, faktycznie przeżyte, intensywne. To zwierciadło ma odbijać wydarzenia dziejące się na zewnątrz piszącego. Natomiast dla mnie realizm, to jest też to, co pisze człowiek ze swego wnętrza, ze swoich bebechów. Jeśli się trzyma jakiejś prawdy swoich przeżyć, jeśli walczy o nią... A prawda to znów względne pojęcie. Co to jest prawda literacka? Prawda literacka, to dobra architektura tekstu.

Na ulicy skwar. Drgające powietrze. Duszno. Tu, w pokoju, panuje półmrok, na ścianach "orwellowskie" grafiki Lebensteina.

Zapaliło się światełko - przyrząd zaczął chodzić. A potem on chodzi autonomicznie, nie jest związany z tym wydarzeniem. To wydarzenie dało mu impuls, a potem różnie się dzieje. Obrasta, obrasta. Ja się śmieję z tych głąbów, którzy myślą, że ten mój realizm to jest tak, że ja coś widziałem i dokładnie to opisuję - toczka w toczkę - mówiąc językiem Drawicza. A to wcale nie jest tak. Pytano o to od lat i mnie nudzi to pytanie, bo to jest pytanie prymitywne.

Uff, dobrze, że nie weszliśmy w kanał zadawania pytań typu "czy to się Panu przytrafiło"..

- To drewniane pytanie - kontynuuje N. - zakłada brak swobodnej wyobraźni u piszącego. A przecież podstawą literatury jest jednak wyobraźnia i jej swoboda, wolne wirowanie. To złudzenie, że ja jestem taki dokładny opisywacz tego, co się działo, wynika stąd, że piszę stylistyką jakby quasi-dokumentu.

MAREK NOWAKOWSKI mówi „Promienistym":

CHCIAŁEM ZOSTAĆ CZEKISTĄ

N. siedzi za biurkiem, charakterystyczny "jeżyk", gęsta, sporo broda. Zaciąga z lekka, jakby tu vaec, po knajacku. Pali papierosa za papierosem. My pijemy herbatę na przemian z wodą mineralną.
"W upały najlepsza jest gorąca herbata" - mówi gospodarz.
Już poprzedniego dnia, kiedy rozmawialiśmy się z nim na rozmowę, zgadało się trochę o literaturze. Podśmiewał się trochę z "nazonych" metod badań literackich i z hermetyczności i płytkości literatury II obiegu. I w ogóle literatury polskiej ostatniego okresu. Z nowych, obiecujących nazwisk zauważył jedno opowiadanie Eustachego Rylskiego pt. "Stankiewicz." Ten typ literatury mu odpowiada, odpowiada temu, co przed chwilą próbował skonkretyzować. Nam zapachniało to realizmem, stąd też i pierwsze pytanie ze zwierciadłem.

- Ale mówił Pan wczoraj, że literatura nie może być projekcją, stwarzaniem światów...

- Nie, to nie jest sprzeczność. Ja wychodzę z jakiejś historii, anegdoty, zdarzenia, faktu. To jest takim zaczepem, fundamentem. A dalej ja robię z tym różne rzeczy. Mogę je obudować fikcją, moją wyobraźnią, moimi przypuszczeniami czy fantazją, innymi strzępami zdarzeń, które widziałem. I w moździerzu jakby je ukręcam. To jest wtedy mój realizm. Nie jest dokładnie to, co się działo rzeczywiście. To, co się działo rzeczywiście jest punktem wyjścia, momentem, który otworzył wyobraźnię. Historia, która się przydarza to punkt wyjścia, światełko, które się zapala /mówiąc językiem technicznym/, te żarówki, guziczki, urządzenia, klawisze magnetofonu.

Chwili jasności: mieliśmy całą moc tych pytań: Jak była Piękna Ina, czy do dzisiaj Bimber ładuje z byka i ile kiedyś wypijał. Trudno, jesteśmy prymitywy. Pytania upadają nim zdążyło do nich dojść, a my dyplomatycznie pochylamy się nad herbatą.

- Ja mam trudność pisania, nie mam wielosłowia w głowie, muszę dobierać słowa. Mnie się ciężko pisze, nie płynie mi to monologami, strumieniami czy sraczką. Rozumiemy się? Trzeba szukać. Czasem bzdurne słowa odrzucać, szukać takich, które przylegają. To stwarza dla niektórych, takich dość jednoznacznie traktujących życie czytelników, pozór opisu, faktografii. A to nie jest tak - ja sobie kręcę tym wszystkim w tym moździerzu. Tak, że z tym realizmem - to sprawa otwarta i po prostu nie szufladkujmy. Mówiono kiedyś o pisarstwie Marqueza "realizm magiczny". Ale co to jest? Widzicie! On korzysta z rzeczywistości, to jest osadzone mocno, dokładnie w tym pejzażu życia południowoamerykańskiego. Tak? W tej Kolumbii jego. W wojnach, które tam były. W rozrzuconych na pampasach i w dżunglach hacjendach, w historiach rodzinnych. Ale jak on to wszystko potem uskrzydla! Tam czas się nie liczy, tam żyją po tysiąc lat, czy po sto. Jakieś żółte deszcze padają. On robi co chce ze światem, ale korzysta z realiów świata.

- Tak więc formułka realizmu nie załatwia sprawy, bo na przykład socrealizm...

- O tym w ogóle nie ma co mówić. Dla mnie to było najmniej interesujące, bo najmniej interesująca była ilustracyjność tez. Była teza, którą trzeba było obrazkami przekazać... I powstawały historyjki.

c.d. str. 2

ZATOKA PERSKA

KTO SIEJE MINY, KTO ZBIERA OWOCE

W ostatnich dniach ubiegłego roku grupa niewielkich państw-szejkanatów leżących nad Zatoką Perską, stwierdziła - wedle komunikatu PAP-u - iż "pożądana byłaby mediacja Związku Radzieckiego w rozwiązaniu konfliktu iracko-irańskiego". Pomysł to doprawdy świetny aby wilk pilnował owiec. Nie trzeba cofać się w wiek XIX, lata drugiej wojny światowej, okres powojenny /podsycane przez Sowiety powstanie Kurdów irańskich/ czy czas flirtów z szachinszachem, by stwierdzić, że jeśli Rosja carska, a potem sowiecka zainteresowana była tym regionem, to bynajmniej nie życzliwie. Szczególnej pikanterii dodaje jej "Przyjaźń i wsparcie" dedykowane państwom arabskim /głównie Irakowi i Syrii/, opozycyjnym wobec szyickich Persów.

1 lutego 1979 roku, specjalny Boeing linii Air France przywozi do Teheranu ajatollacha Chomeiniego. W niespełna dwa tygodnie później jest już po Cesarstwie - powstaje Republika Islamska. W tym samym dniu - tzn. 13 II - uznaje ją, jako jeden z pierwszych, ZSRR.

Jak to się stało, że reżim, w którego literę systemu wpisana jest ateizacja społeczeństwa, tak silnie umiłował fanatyków religijnych? W oficjalnych enuncjacjach Kreml zauważał zbieżność fundamentów /rewolucja/, na których stoją oba państwa. Jasnym jednak było dla wszystkich, że najmilszym argumentem dla Sowietów był /i jest/ antyamerykanizm.

Wkrótce już ponad 2 tysiące radzieckich specjalistów pomagało budować zręby nowej państwowości. Dołączyła do nich pokaźna grupa rzetelnych fachowców z NRD, którzy współtworzyli "Sawamę", tajną policję, zdecydowanie sprawniejszą niż poprzednia "Sawak".

Niestety tepretykom moskiewskim nie zawsze slogan "rewolucja + antyamerykanizm + doradcy = komunizm" się sprawdza. Mało tego, rozrastający się fanatyzm szyicki, przybrał takie rozmiary, że prócz korzystnej dla Moskwy destabilizacji środkowego Wschodu, groził rozszerzeniem swych wpływów również na muzułmańskie republiki radzieckie, a szczególnie szyicki Azerbejdżan.
Zaniepokojeni Rosjanie już za Andropowa próbują wywrzeć presję na Teheran. Dział spraw muzułmańskich przejmuje Gejdar Alijew, członek Politbiura, generał KGB i... syn szyickiego mułły z Azerbejdżanu, który wzmaga propagandę ateistyczną i represje wobec muzułmanów radzieckich. Irak, podówczas już mocno walczący z Iranem, otrzymuje zwiększone dostawy broni. A kiedy szyici libańscy uprowadzili 4 dyplomatów sowieckich i jednego zamordowali kontruderzenie było błyskawiczne. KGBiści ambasady bejruckiej uprowadzili 4 agentów Teheranu, jednego wykastrowali, odesłali szczątki rodzinie i... pozostałych trzech Rosjan natychmiast zostało odesłanych.
Iran zaczął też wtedy pomagać powstańcom afgańskim, którymi przedtem - mimo 2 mln uchodźców na własnym terenie - wcale się nie przejmowano. Narasta antysowiecka propaganda, demonstracje przed ambasadą Moskwy grożą wręcz jej zdobyciem. Wymordowana zostaje cała kadra zdelegalizowanej partii komunistycznej "Tudeh".

Przyszedł jednak Gorbaczow, który zauważył że ideologia ideologią, ale istnieją również interesy. Zaczął się okres kokieterii...
Apogeum umizgów sowieckich miało miejsce latem ubiegłego roku. Kiedy strażnicy rewolucji wrzucali do Zatoki Perskiej tony min, chcąc sparaliżować i eksport ropy arabskiej i ważne drogi zaopatrzeniowe Zachodu, a zaniepokojeni sojusznicy z NATO zaczęli te miny wyławiać, propaganda sowiecka rozpoczęła wściekłą kampanię pogróżek i kłamstw. Sprowadzało się to wszystko do etyki Kalego "kapitalistyczne okręty wojenne strzegące konwojów być bardzo złe, radzieckie okręty wojenne strzegące radzieckich konwojów być bardzo dobre". A że Moskwa - jak to dobrze wiadomo - jest niezwykle elastyczna, to kiedy również ich kontenerowiec został trafiony przez pokrytykowanych Persów, zareagowała nowymi ukłonami w stronę napastników i dalszymi atakami na USA.

A później przyszedł koniec sierpnia i największy chyba interes jaki ZSRR zdołał zrobić ostatnio.
Wówczas to wizytował Teheran pierwszy wiceminister Jurij Woroncow, który zaraz na początku wyraził "najgłębszy smutek ludzi radzieckich wobec masakry niewinnych pielgrzymów irańskich w świętym mieście Mekka" i przeciwstawiał się

Rys. W. Sysojew

c.d. str 2

serwis informacyjny

● W odpowiedzi na oświadczenie rzecznika rządu PRL o możliwości dopuszczenia działaczy "Solidarności" do dialogu i procesu porozumienia" gdy spełnią kilka warunków, Lech Wałęsa potwierdził gotowość związku do rozmów zastrzegając równocześnie, że nie mogą być one obwarowane żadnymi warunkami wstępnymi.

● Według Centralnego Planu Rocznego w PRL w 1988 roku nastąpi wzrost cen urzędowych podstawowych artykułów żywnościowych średnio o 40%, energii, ciepłej wody i czynszów o 50-100% zaś cen węgla kamiennego o 200%.

● Stany Zjednoczone wezwały Izraelczyków i Palestyńczyków do zachowania spokoju i podjęcia wysiłków w celu zakończeniu konfliktów na zachodnim brzegu Jordanu i w strefie Gazy.

● W kilku miastach Polski - Gdańsku, Wrocławiu, Katowicach, Krakowie - odbyły się manifestacje w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, Wydarzeń Grudniowych oraz masakry pod kopalnią Wujek.

● Minister obrony USA Frank Carlucci stwierdził, że Stany Zjednoczone nadal będą pomagać Kuwejtowi w obronie kraju, ale nie mają zamiaru wystawiać na ich terytorium baz wojskowych. Carlucci, który podróżuje po państwach w rejonie Zatoki Perskiej oznajmił także, iż USA gotowe są przedyskutować wszystkie propozycje rozwiązań konfliktu w tym rejonie.

● USA i CSRS osiągnęły porozumienie co do amerykańskiej inspekcji radzieckich baz wojskowych w Czechosłowacji. Inspekcją ma być objęta między innymi baza w Hanicach, gdzie znajduje się 39 rakiet nuklearnych średniego zasięgu.

● Amerykańska pomoc dla partyzantów w Afganistanie będzie kontynuowana aż do całkowitego wyzwolenia tego kraju - oświadczył podsekretarz stanu USA John Armacost.

● W Moskwie w grudniu ub. roku odbyło się kilkudniowe seminarium niezależnych ugrupowań pacyfistów i obrońców praw człowieka. Wzięło w nim udział około 400 osób.-mimo zatrzymań działaczy pokojowych w ZSRR i odmowie wydania wiz gościom zagranicznym. Dyskutowano na temat definicji więźnia politycznego, roli prawa i wymiany informacji o represjach itd.

● Ambasador Etiopii przy ONZ oskarżył państwa zachodnie o nieudzielanie pomocy żywnościowej i rozwojowej Etiopii, usiłowania realizacji "własnych celów" i dążenie do osłabienia władz etiopskich i ich kontroli nad krajem.

● Dowódca szwedzkich sił zbrojnych Benajt Gusteffson oświadczył, że szczegółowe badania wykazały z całą pewnością, że w ciągu ostatnich 6 miesięcy na szwedzkich wodach terytorialnych działały zagraniczne okręty podwodne. Nie podał jednakże o jakiego kraju okręty chodziło.

● Włoski sąd apelacyjny utrzymał w mocy wyrok w sprawie 3 obywateli bułgarskich sądzonych w związku z zamachem na papieża. Zostali zwolnieni "z braku wystarczających dowodów winy". W świetle prawa włoskiego nie jest to równoznaczne z uniewinnieniem.

● Według sondażu CBOS co najmniej 20% ankietowanych pracuje w stanie stresu. Tylko 6% zatrudnionych w PRL pracuje ustawowe 8 godzin. 10 godzin dziennie pracuje 49% Polaków, zaś ponad 10 godzin - 45%.

● Papież Jan Paweł II Przyjął na audiencji prywatnej Josifa Terelję - znanego działacza anickiego w ZSRR. Po około 20 latach więzienia i zesłania zezwolono mu na emigrację.

● W Warszawie powstał Ruch Polityki Realnej, do którego weszli między innymi znani publicyści Stefan Kisielewski i Janusz Korwin-Mikke. Do ruchu mogą należeć wszyscy, którzy odrzucają system socjalistyczny i dążą do wprowadzenia w Polsce gospodarki kapitalistycznej.

● W 1988 roku zostanie otwarta na Węgrzech "szkoła menedżerów", w której wykładowcami będą fachowcy z USA i Europy Zachodniej. Uczestnikami seminariów będzie przede wszystkim średnia i wyższa kadra węgierskich przedsiębiorstw.

● Od bieżącego roku przedsiębiorstwa węgierskie będą miały prawo swobodnego eksportu swoich wyrobów bez konieczności uzyskania zgody Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Wymiana z krajami socjalistycznymi nadal jednak będzie regulowana przez umowy międzynarodowe i prowadzona w trybie scentralizowanym.

● Mimo dobrych efektów oraz zachęty ze strony prasy, radzieckie kołchozy niechętnie tworzą nową formę gospodarowania w postaci tzw. zespołów rodzinnych. Rodzinom takim przekazuje się środki produkcji i gwarantuje całkowitą samodzielność w zamian za oddawanie części plonów.

● Wygłoszony na V Krajowej Konferencji Partyjnej Rumuńskiej Partii Komunistycznej referat na temat "obecnego etapu rozwoju sił produkcyjnych społeczeństwa socjalistycznego, stosunków produkcyjnych i społecznych rewolucyjnej demokracji robotniczej /.../ i kroczeniu Rumunii ku komunizmowi" trwał przeszło 3.5 godziny i był przerywany około 30 razy oklaskami oraz przeszło 40 razy gromko skandowanymi okrzykami.

● Jak informuje "Gazeta Młodych" w jednym ze sklepów w Tychach można zakupić spódniczki uszyte z krawatów organizacyjnych ZSMP.

Serwis zamknięto 6 I 1988 roku.
/SJ, RKW, RWE, VdA/

Dziękujemy Pani Profesor za 0.5.

cena 60 (poza Krakowem 65)

Jak to na placówce ładnie

Ostatnio jedna z komisji sejmowych,/czy inna Rada Państwa/ odkryła, że polskie placówki konsularne niespecjalnie troszczą się o obywateli polskich przebywających za granicą. Nie jest to żadna rewelacja, stan taki trwa od lat.
Jak wygląda "życie na placówce", czym zajmują się PRL-owscy dyplomaci - opowiada były sekretarz ambasady Rumunii Jerzy Bahr.
Jego relację zaczerpnęliśmy z paryskiego miesięcznika "Kontakt".

W warszawskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych wyjazd na *właściwą* placówkę dyplomatyczną daje urzędnikowi nie tylko upragniony oddech finansowy, lecz jest przede wszystkim sprawdzianem jego aktywności w zakresie korzystnych układów personalnych. To całe misterium, czarna msza, w której zamiast gestów liczy się znieruchomienie, zneutralizowanie rysów twarzy dokładnie w tym momencie, gdy usłyszymy wiadomość ważną dla naszych wyjazdowych planów. Wieczna karuzela: komu się udało, a komu nie, splot nadziei i rozczarowań, zazdrość wobec konkurenta, który nam podebrał stanowisko w Londynie, Paryżu albo w Buenos Aires - czyjeż pióro opisze podchody tych wyrośniętych zuchów o całkiem nieharcerskich motywach zdobywania sprawności?!

Zrozumiałe, że dla współczesnego polskiego dyplomaty zasadniczy podział świata nie jest polityczny, gospodarczy, ideologiczny, ale walutowy. To pozostaje punktem wyjścia dla każdej oceny. Takie tło wymaga przecież pewnych uściśleń: finansowo, poza strefą walutową opłaca się na przykład pobyt w Moskwie, Pekinie czy Korei Północnej. Tyle, że w pierwszym przypadku ceną jest zrujnowanie sobie wątroby */nie podlewana przyjaźń nie rośnie/*, w drugim, dla wielu zbyt trudna do zniesienia samotność i skazanie wyłącznie na środowisko przyambasadzkie. Zdarzają się również niespodzianki, "wypadki przy pracy" : przez lata całe, wślizgnięcie się - choćby na kilka miesięcy! - do Międzynarodowej Komisji Kontroli urzędującej w Wietnamie Południowym uchodziło za przysłowiową żyłę złota. Ale na początku lat 80-ych wyszło na jaw, że właśnie tam znajdowało się miękkie podbrzusze polskiego wywiadu, a amerykańskim służbom specjalnym udało się skłonić kilku przedstawicieli PRL-u do współpracy. W efekcie padł blady strach na wszystkich, którzy kiedykolwiek przewinęli się przez Sajgon. Obejmowało to pokaźną grupę, najczęściej jednak weteranów służby. Niejeden dorobkiewicz zadrżał, że kupione za bezcen i wywiezione bezpiecznie do Polski /ach te uroki dyplomatycznego paszportu!/ stare lampy, naczynia srebrne i kosztowności, mogą po latach nagle zainteresować warszawskie władze bezpieczeństwa (...)

Kiedy więc wezwano mnie do Departamentu Kadr i Szkolenia powiadamiając, że mam pojechać do Wenezueli, mógłbym mieć powody do satysfakcji - pomijając tak mało znaczący fakt, że nigdy nie zajmowałem się Ameryką Południową. Jednak, rzeczowy rozmówca z pewną naganą w głosie przypomniał, że znam rumuński, a *chyba wiecie, że to są podobne języki*. Argument był godny uważnego czytelnika rozprawy Stalina o językoznawstwie, przeto nie wypadało go tak na poczekaniu odrzucać. Jednak po kilku dniach przyszedłem znów do Kadr informując, iż sprawdziłem, że w ministerstwie spora grupa ludzi mówi po hiszpańsku, a prawie nikt nie zna rumuńskiego /także referent od tego kraju St. P. nie przejmował się takimi głupstwami/. W tej sytuacji uważam za partyjny obowiązek oddania swych umiejętności na placówce tam, gdzie mogą być one najlepiej wykorzystane. Na takie ideologiczne dictum zostałem zapewne - z powodów jak wyżej - uznany za osobnika niespełna rozumu: ale za to jesienią 1976 roku wylądowałem, zgodnie z cichym życzeniem na lotnisku Otopeni w Bukareszcie. Odtąd, przez blisko cztery lata pracowałem w tamtejszej Ambasadzie PRL na stanowisku I sekretarza d/s prasy.

W spadku po niepodległej Rzeczpospolitej Polska Ludowa przejęła w Bukareszcie niektóre tylko obyczaje dyplomatyczne, ale za to całość nieruchomości. Pięknego pałacyku przy Al. Kiseleff który mógł pozostać w polskich rękach, udało się już dawno naszym, pożal się Boże, rachmistrzom pozbyć za bezcen i nieodwołalnie. Jest to swoista specjalność MSZ, a wprowadzeni w problem mogliby dorzucić niejeden podobny przykład - vide choćby utrata wspaniałego gmachu Ambasady RP w Atensch. Ale przecież pozostał nam główny imponujący budynek przy Al. Alexandru 23 o jakże harmonijnych proporcjach, znany tylu Polakom, których tułaczy szlak prowadził przez Rumunię we Wrześniu. W czasie wojny obiekt służył m. in. niemieckim sztabowcom, co potwierdziły odnalezione potem ogromne ilości superdokładnych map, głównie frontu afrykańskiego. Z kolei po sierpniu 1944 roku budynek przejął KC Komunistycznej Partii Rumunii /RPK/, podobnie jak szereg innych w tej willowo-ambasadzkiej dzielnicy. Jeszcze dziś w pobliżu znajdują się garaże i kuchnie KC - te ostatnie, dzięki przekupnym kartonem polskich "Marlboro" dostarczały w czasach gierkowskiej"prosperity" lepsze gatunki mięsa, wędlin i ryb na stół ambasadora. (...)

Jak wiadomo okres gierkowski wyróżniał się także prawdziwym boomem turystycznym. Rumunia stała się nie tyle głównym celem naszych podróżnych - bo bariera językowa, brak odpowiedniej infrastruktury, zdradzieckie /dosłownie!/ wprowadzenie opłat w walucie wymienialnej - wszystko to odstraszało. Ale była gigantycznym węzłem tranzytowym i przez jej teren w pokojowym Drang nach Süd-Osten przewinęły się w sumie miliony Polaków. Kraju na ogół nie znali - nie przypuszczałem, że aż tylu może wiedzieć tak niewiele o tym, co tak blisko. Normalną koleją rzeczy ci którzy przychodzili do ambasady nie byli zwykłymi turystami, lecz najczęściej ofiarami lub krewnymi ofiar kradzieży, zgubienia dokumentów, wypadków samochodowych itp. Ten specyficzny aspekt, w połączeniu z trudnościami transportowymi, finansowymi czy ogólnie: biurokratycznymi, przydaje dramatyzmu kontaktom, a często i konfliktom na linii: turysta - urzędnik. Dla pracownic Wydziału Konsularnego nieustanna kon-

c.d. str.3

MAREK NOWAKOWSKI - *c.d.*

- Nabokov, w tej broszurce, którą Panu sprezentowaliśmy, występuje przeciwko "pisarzom idei". Pisarz chce coś powiedzieć, ma coś ważnego do przekazania czytelnikom i dobiera do tego fabułę, bohaterów, którzy stają przed czytelnikiem i przedstawiają opisanie autora na dany temat.

- Bo Nabokov był przede wszystkim estetą, dbał o piękno, narrację, przejrzystą konstrukcję. Ale to są zimne konstrukcje, lodowate, jakby z kryształów czy bloków lodu układał coś wspaniałego. Ale to jest inny rodzaj pisarstwa. Ja na przykład cenię niezwykle jego autobiografię *"Tamte brzegi"*. Przepiękna, ale panowie - tam jest też realizm! To życie, dzieciństwo i młodość, które zapamiętał, które rekonstruuje i przetwarza.

- Ale jakie jest Pana zdanie na temat "pisarstwa idei"?

-Jeśli a priori jest to idea, to ja nie mam o czymś takim dobrego zdania. Idea powinna jakoś wynikać .Pisarz powinien być bardzo ostrożny wobec wszelkich idei, bo one pożerają literaturę. Idea robi z literatury fagasa, sługę i kończy się ta wolność pisarza to prawdziwe żeglowanie po papierze. Robi się niewola, bo masz tę ideę jak gilotynę nad sobą. Może idea wynikać z moich doświadczeń, mogą one zgadzać się z jakąś ideą, ale żeby literatura miała zaczynać się od idei - to nie, to byłaby podejrzana sprawa. Mnie na przykład zarzucano, że jestem "pisarzem idei" mówię w cudzysłowie , po tych opowiadaniach o stanie wojennym, po "Raporcie..." Im się wydawało, że piszę, z góry zakładając jakąś rację, której jestem rzecznikiem. A to nie było tak - to był opis sytuacji, która była dla mnie nowa, sytuacji w postaci stanu wojennego. Patrzyłem pod kątem: jak działa na rzeczywistość stan wojenny. O to mi chodziło. Jakie powoduje relacje ludzkie, jak działa na ludzi,na myślenie . A niektórzy głupcy zakładali, że ja jestem pisarzem idei "Solidarności", że jestem nawet taki socrealista *a reboure*, czyli socrealista w służbie "S". A ja opisywałem życie zwykłych ludzi. A nie wielkich działaczy i idee. To była taka mozaika codzienności.

Na biurku leżą reprezentacyjne numery "Promienistych" i kilka broszur, wśród nich wspomniany Nabokov. Musieliśmy się jakoś zareklamować, bo namówić N. do rozmowy jest niezmiernie trudno."Ja, raczej nie daję wywiadów, pisarz powinien mówić tylko poprzez swoją twórczość." i takie tam podobne teksty.

- Dałem ostatni wywiad Jugosłowianom, zresztą, nie wypadało odmówić - wydali tam właśnie "Księcia nocy". Bardzo ładnie się to nazywa - "Knjaz tminy" - książę ćmy... I teraz widziałem ten wywiad już wydrukowany; jakiś taki dziwny tytuł ma - "Sam protiv partiju" - N. śmieje się. - Nie bardzo wiem, co by to mogło znaczyć, ale coś mam przeczucie, że to nie to chciałem powiedzieć.

- Niech się Pan nie martwi; zasadą naszej rozmowy będzie: tylko nie o polityce.

- Hmm, zobaczymy, zobaczymy coście warci. Musimy się wyczuć, zupełnie się przecież nie znamy.

Teraz, kiedy N. mówi o "Raporcie...", myślę, że choć te opowiadania podobały mi się najmniej spośród wszystkich przeczytanych, to mają moim zdaniem jedną ciekawą, wspólną cechę: czarne postrzeganie rzeczywistości. Mówię to i pytam:

- Tak na marginesie - czy w życiu prywatnym też jest Pan pesymistą?

N. jest na dużym luzie.

- Byłem kiedyś tam w jakichś tam celach na wsi polskiej Włóczyłem się po jakichś wiochach i poznałem takiego starego człowieka, wioskowego samotnika, starego kawalera, dziwak, który tylko ryby i który tylko wódkę. Tam była rzeka, rozlewiska i on się tym zajmował. Mieszkał przy bracie, który miał dom, rodzinę, gospodarstwo. A on - abnegat wiejski. Wtedy właśnie wychodzili ludzie na księżyc - używam tego słowa, bo on nie wierzył w to księżycowe wchodzenie ludzi absolutnie. "Co to jest - mówi + pokazali jakichś żabów." I jak opowiadał! Był człowiekiem doświadczonym, rok 20 i wojna z bolszewikami, potem 39 i także różne perypetie. I nagle barwne opowieści ze swego życia skwitował: *Bo świat to jest bardach, a ludzie bladzie są*. Bardzo mnie to zaintrygowało. Bo on był jeszcze jako człowiek tak ponury, milczący ale nie gorzki. Miał taką ponurość spokojną. I to też, że on sobie życia żadnego nie chciał układać, co na wsi jest jeszcze bardziej nietypowe niż w mieście.

- Tam presja ogromna...

- Prawda? Presja, ma pan rację, tradycji czy czegoś. Taki wiejski abnegat.

- A Pan jest takim miejskim abnegatem?

- Nie - uśmiecha się.

- Ale to się Panu spodobało?

- Nie, ja to tylko tak wam opowiedziałem w upale, tak *en passant*.

Mygderliwie:

- Ale co jest z tym Pana pesymizmem? Podobno był Pan zdziwiony tymi listami Henryka Wujca, które się ukazały w "Wezwaniu"... Że one są takie optymistyczne, pogodne...

- Ja nie byłem zdziwiony, to za dużo powiedziane. To mnie zainteresowało, zainteresowała mnie ta ewentualność, że jest Wujec taką formacją czystą, pogodną,jasną. Psychicznie. Ale potem doszliśmy do wniosku, że te listy były też trochę takim sposobem na pokrzepienie się w warunkach więziennych. I na pokrzepienie bliskich, którzy przecież martwią się o tego, który jest w pudle. Ja ciągle będę uciekał od takich sformułowań. Pesymista - optymista. Kto to powiedział... Jakiś mędrzec - może Nietzsche? - że zna jeszcze jedną rzecz gorszą niż pesymizmu-to optymizm.

- No to wobec tego dlaczego...

N, ciągle przerywa.

- Mnie interesuje życie ludzkie jako ślepe, chaotyczne pozornie celowe, a często bezcelowe pętanie się po tej ziemi.

- Dlaczego zajmował się Pan w tych wcześniejszych opowiadaniach...

Znowu przerwał:

- Po nic, donikąd - że użyję takiego patetycznego określenia... Ha,ha,ha - śmieje się.

- Panowie, bo was nafaszeruję dekadencko - nihilistyczną...

- Dobra, dobra, tak właśnie się nam Pan kojarzy. Tylko tak dalej...

- Wszystko jest jakąś rolą, wszystko jakąś kreacją. Może jestem chimerykiem, nastrojowcem. Wszystko zależy od dnia. Kto wie? - śmieje się.

- Zaraz, zaraz. Przypomnijmy Pana wcześniejsze opowiadania, jakbyśmy powiedzieli, lumpowskie. Dlaczego właśnie o tym? No, pewnie - może Pan powiedzieć, nie wiem, bo wydawało mi się to ciekawe.

- Ale pytacie panowie jak dzieci tym razem. Ja panów poważnie traktowałem dotąd. Panowie, dobrze, że jesteście z "Promienistych". Dzieci po prostu.

Wkurwiamy się. My mu tu zaraz... Spoglądamy na siebie i... parskamy śmiechem.

- Nie pisałem z wyboru. Mówiłem, że zaczyna się od tego, co się zna.

Patrzymy wyczekująco i chciwie. No, zacznijże w końcu te ploty, anegdoty, samo życie.

- To był mój świat. Byłem chłopakiem przedmieść. To nie było ekstrawaganckie z mojej strony. To nie były opowiadania wydumane, żeby ludzi przerażać, straszyć, zadziwiać. Nie egzotyczne, bo były one szare przecież. Szare, bez wysokiego nieba, małe sprawy, takie właśnie chodzenie po lepie, tak? Takich much jeszcze niezupełnie zatrzymanych przez lep. O tym pisałem, bo to znałem, to mnie otaczało, to mi się wydawało życiem. Prawdziwym. Może to też była swoista forma ucieczki - to już teraz mówię, po latach - od świata zunifikowanego, od świata zorganizowanego, tego, który był wtedy powszechny. To był okres panowania Stalina, ta era szczytowa tego ustroju, pełna rozmachu. Świat był zamknięty. Pod szkłem. Życie duszne, jednakowe zachowanie...

- Porządek...

- Porządek. Jednakowe reakcje, jednakowe działania. To była nuda, jeszcze gorsza, ohydna. Przy tym świat bezkarny, bo jak się było ZMP-owcem, to można było wszystko robić i nic nie groziło. Może jako młody człowiek szukałem wolnego życia? A to było wolne w jakiś sposób. Tam młot polityki nie docierał, tam ludzie żyli jeszcze w swoich enklawach. Jeszcze była ciągłość, wielka pamięć przedwojennych czasów. Tradycja. To są korzenie. A tam chodziły legendy o przedwojennych złodziejach, tam byli ludzie, którzy przed wojną chodzili na roboty. To był świat jakiegoś takiego życia nieuporządkowanego, nieuregulowanego, niespacyfikowanego i świat pamięci. Dużo pamięci było o przeszłości. Złodziejskiej czy jakiejś tam innej. Ale pamięci, a ten świat, który nam fundowano był światem bez pamięci. Zakładał wszystko od nowa - tak jak mówiłem wczoraj o tych rewolucjach. Wszystko od nowa budujemy, my na nowo, my - wielcy architekci. A wszyscy, którzy są innych poglądów - to reakcja, to wrogowie, to gady. Miażdżyć, szarpać, kończyć, likwidować. Ja też się bawiłem w ZMP wtedy, oczywiście. Ale to dla mnie, cieszę się z tego,była zabawa. Nie mam sobie nic do zarzucenia, nie mam potrzeby robić teraz ekspiacji, jakichś analiz, dlaczego to było. Bo początkowo wydawało się to barwą, wyzwaniem, rewolucją właśnie. Rzeczywistą - że przeciw wszystkim. Bo rodzice, moje środowisko - miało inne poglądy, więc byłem zdania, że to jest bunt.

- Młodość!

- Tak, bunt młodości. Przeciw normom zastanym. Próba jakichś nowych, orlich lotów, tak? Ci, co są starsi wydają się mułami już przypisanymi do kieratu, tak? A tu mi się wydawało, że ZMP jest sprawą wielkiej przygody. Bawiłem się w to, byłem działaczem, jeździłem na wieś, namawiałem do kołchozów, wygłaszałem pogadanki, chodziłem po hotelach robotniczych. Byłem działaczem - instruktorem ZMP. Byłem etatowym przewodniczącym ZMP w LOT. Zabawa trwała jakiś rok, czy półtora, może dwa. I równocześnie zacząłem się coraz bardziej wgłębiać, jak to się mówi takim szablonowym językiem, w świat mętów, półświatek. To ciekawe - będąc działaczem tak porównywałem. I jeszcze będąc działaczem zacząłem głębiej w to wchodzić. I zupełnie odszedłem, rzuciłem ZMP jak dziwkę. I te kolory czerwone. Nie wybór jakiś świadomy, że ja, bojownik walczę.To mi się wydawało ciekawsze, a to nudne, jałowe, więc rzuciłem. Po prostu rzuciłem. I oto dla mnie była wolność, miałem wybór - widzicie? Kochani, widzicie - to wolność. Nie dałem się. I złodziejszczyzna, przedmieście, więzienia, świat urków, dziwek, burdeli, melin, paserów. Tu istniał jeszcze honor - nie wolno kapować. Kapuś to kurwa. To było cudowne. A tam mówiono, że trzeba kapować. Podsłuchiwać nauczycieli, patrzeć, obserwować. Wszystko było w opozycji do tego świata, który rzuciłem.
Ja przecież kiedyś chciałem być czekistą. Tak. CZEKA, *"Jak hartowała się stal."* Wspaniałe rzeczy. To siła idei. Takim być. Czekista - skórzana kurtka,okrągła czapka, nagan... w drewnianej pochwie. Tak, to było marzenie. Myślę sobie: pójdę do urzędu. Bezpieczeństwa. U nas był, na przedmieściu, tuż obok. Idę do urzędu. "Chcę pracować". Coś dla sprawy. A on na mnie patrzy, taki stary wyga, to chyba nawet przyjął mnie szef urzędu, bo szokiem było, że taki młody chłopak, uczeń, w krótkich spodenkach, czy też pumpach tam byłem...
Więc szok! Mówię mu gorąco o tym wszystkim naczytany tych pięknych książek o bohaterach, Dzierżyński - dużo o nim czytałem - i w złej tonacji i w dobrej. Przed wojną ; "czerwony kat"... Ale fascynujący, wielki człowiek... Siła, coś dużego zrobił. I ten oficer bezpieczeństwa tak patrzy na mnie, patrzy i mówi: "Słuchajcie!" Pogrzebał w jakiejś teczce, wyciągnął z szuflady następny plik papierów i mówi:"U was w szkole profesor ten a ten podejrzany o koneksje z piłsudczykami, ten a ten był w AK - słuchać, patrzeć, obserwować, A w razie czego..." I podaje mi karteczkę ze swoim numerem telefonu. I to ma być czekista? Co to za czekista? Mały kapucha,tak?

Wydajemy westycy jak zawodu i rozczarowania.

- Czemu Pan tego nie pisze o urkach? Skończyło się?

- Nie można. Ja mam taki dzwonek alarmowy, wiem, kiedy już się powtarzam. Przynajmniej do tej pory wiedziałem. Kiedy widzę, że to już jest plewa, że nie ma ziarna, to stop.

- A czy jest dzisiaj jeszcze prawdziwy półświatek?

- Pewnie jest, ale jakiś inny, związany ściśle z socjalizmem. Tamten był anachroniczny, ten jest w tym rytmie już, w te obroty wciągnięty. To nie jest już światek, to wynika z tego, co jest, z systemu. Margines systemu, szczelina systemu... może to jest po prostu system? Te działania nie mają już nawet pozoru wolności i niezależności, jakie miały wtedy.

- A czy te środowiska wówczas były zainteresowane polityką? Jaki był w nich stosunek do czerwonych?

- Do czerwonych był stosunek przeważnie

dokończenie str.3

ROK PRZESZŁY *c.d.*

WRZESIEŃ

Irańczycy jedzą miny. Ich statek "przewożący żywność" nie zdążył jej wrzucić do wody - Amerykanie tego nie lubią.

Czy ktoś widział w północnym Czadzie dwóch przypadkowych turystów radzieckich przebranych w mundury wojskowe!

George Bush, jako jedenasty w tym roku mąż stanu, rozmawiał z prywatną osobą - Lechem W.
W czasie spotkania w Belwederze z opozycją niedemokratyczną przekazał jej uwagi ze spotkania z Lechem.

W Zatoce Perskiej są wojskowe okręty irańskie, irackie, amerykańskie, radzieckie,francuskie, brytyjskie, włoskie, belgijskie i holenderskie. Żółtej łodzi podwodnej z Chin jeszcze nie zauważono.

PAŹDZIERNIK

PRL. Niektóre ministerstwa zamieniono we wspólnoty. Pierwotne.

Dolarowy krach. Kongres USA jest zaniepokojony sytuacją pod bankiem PKO SA, róg Rynku i Szewskiej.

Hamlet wykupił z PRL swoich szpiegów za 0.5 mln dolarów.

Polowanie na tygrysy w Sri Lance.

"Truteń z marginesów" dostaje Nobla. Kreml jakby na marginesie.

LISTOPAD

Pierestrojka trwa. Gorbaczow przemawiał na akademii tylko 3.5 godzin.

Czesi mocno się trzymają. Z akademii obrażeni wyjechali, w pochodach nieśli portrety Stalina. *To se ne vrati?*

Zaginieni w Czadzie radzieccy turyści znaleźli się w Angoli.

Zreferowano referendum: przegraliśmy ale wygraliśmy. A właściwie nie było ono tak wiążące /wiadomo jaka konferencja/.

GRUDZIEŃ

W Waszyngtonie podziwiano fraki i toalety. Ciekawe co tam takiego się stało?

Dolar nadal spada. Podniesiono go w Polsce.

Wróciło paru Sowietów ze zesłania na stacji orbitalnej. Wyrok skróciła pierestrojka.

100 NUMERÓW PROMIENISTYCH!!! - to zdecydowanie najlepsza wiadomość ubiegłego roku.

KTO SIEJE MINY, KTO ZBIERA OWOCE *- c.d.*

ko przekazał Chomeiniemu osobiste i bardzo gorące pozdrowienia od Gorbaczowa, co poniekąd jest dziwne, gdyż annały dyplomacji milczą na temat ich znajomości. Po czym nastąpiły kilkudniowe dyskretne rozmowy, które zakończono podpisaniem "umowy gospodarczej".

Są jednak już pierwsze przecieki mówiące o tym, co naprawdę podpisano:

1. wybudowanie linii kolejowej z Iranu do Turkiestanu /ZSRR/.
2. uruchomienie dwóch ropociągów Iran-ZSRR, co zapewni przepływ około 40% eksportu ropy irańskiej
3. układ o współpracy gospodarczej i wojskowej, podobny do zawartego z Irakiem.

Mówi się również o tym, że ZSRR korzysta już z usług i informacji stacji nasłuchowej, zainstalowanej nad Zatoką Perską przy pomocy radzieckich ekspertów. Ponoć upatrzone są już dwa małe porty: Szachbahar i Gawater, które charakteryzują się tym, iż dno morskie obniża się tam gwałtownie do głębokości 180 metrów, co pozwoliłoby na stworzenie baz pod czerwonym sztandarem, do których zawijałyby największe okręty wojenne. Jeśli dodać do tego, że już od wielu lat Iran zaopatruje się w radziecką broń, co teraz zapewne się nasili, korzyści ZSRR widoczne są jak na dłoni. Pieniądze, ropa, imperium, skłócenie Zachodniej Europy i upokorzenie USA!

Iran zyskuje również sporo.Co prawda Chomeini deklarował istnienie dwu szatanów: ZSRR i Stanów Zjednoczonych, ale - jak wiemy - nawet wśród szatanów są równi i równiejsi, a minimum dyplomacji wymaga, aby oprzeć się na jednym z gigantów w wypadku konfliktu pomiędzy nimi. Jednak przede wszystkim przestanie Iranowi zagrażać zablokowanie cieśniny Ormuz, która jest kluczowym punktem w transporcie ropy naftowej.

Zacytujmy na koniec Leopolda Ungera, z którego artykułu tu korzystałem:
"Churchil określił kiedyś ZSRR jako giganta o zatkanych nozdrzach, mając na myśli.., jego brak dostępu do ciepłych mórz.
/.../ Dzięki swej sile wojskowej i dyplomacji, teraz lub w najbliższej przyszłości, nozdrza sowieckie będą mogły szeroko i spokojnie oddychać.
My natomiast - znacznie mniej szeroko i znacznie mniej spokojnie."

K.Trojański

Ludzie konserwatywnej rewolucji

Od kilku już lat cudzoziemcy przybywający do USA zaskakiwani są głębokimi zmianami, jakie dokonały się w życiu społecznym i politycznym Amerykanów, w amerykańskiej kulturze i obyczajowości. "Zmienia się Ameryka" - taki tytuł nadał swojej ostatniej książce Wiktor Osiatyński. Natomiast francuski autor Guy Sorman, który odbył amerykańską podróż w 150 lat po Tocqueville'u, proces przewartościowań społecznych w Stanach Zjednoczonych określił jako "rewolucję konserwatywną". Przypatrzmy się więc bliżej temu zjawisku, pamiętając jak często prądy ideowo-kulturowe zrodzone w Nowym Świecie, przyjmowały się również w Europie. *Europejczycy* - jak pisze Sorman - *ciągle szukają w obrazie Stanów Zjednoczonych zapowiedzi i jakby drgnień swej własnej przyszłości.* Przedstawione poniżej postaci stały się w USA prawie symbolami nowych przemian, odradzających często stare amerykańskie wartości.

Richard Viguerie - to menadżer i ideolog; w jednej osobie. Należy do głównych twórców sukcesu republikanów w 1980 roku. Jest 50-letnim katolikiem z Teksasu, jego przodkowie wywodzą się z Francji. Sam specjalizuje się w reklamie politycznej. Jego jedyną namiętnością jest praca; częściej mieszka w swym biurze w Falls Church pod Waszyngtonem, niż w okazałej wirgińskiej rezydencji. Żyje w walizkach, wiecznie między jednym samolotem a drugim. Viguerie to właśnie człowiek sukcesu - on wylansował termin "Nowa Prawica" na amerykańskim rynku opinii publicznej. Pierwszy zrozumiał jak mocną stroną amerykańskiej liberalnej lewicy było wymyślenie mobilizujących haseł "Nowy Ład" Roosvelta, "Nowa Granica" Kennedyego, czy "Wielkie Społeczeństwo" Johnsona." Nowa Prawica" symbolizuje natomiast konserwatywny program polityczny, którego celem jest wzmocnienie pozycji prestiżu USA w świecie, zmiana polityki gospodarczej w kierunku powrotu do klasycznych reguł wolnokonkurencyjnej ekonomii i ograniczenie władzy zbiurokratyzowanej administracji centralnej. Po aferze "Watergate" i uniemożliwić potajemne finansowanie kampanii wyborczych, Kongres ograniczył wysokość kwoty, jaką kandydat może otrzymać od jednego ofiarodawcy. Od tego czasu politycy polują więc na drobne sumy, co zmusza ich do korzystania z usług specjalistów mogących zmobilizować dostatecznie wielką rzeszę sympatyków. Właśnie Viguerie wykazał niedościgły talent w tej dziedzinie. Stworzył on nowy środek przekazu, omijający tradycyjne media znajdujące się na ogół pod wpływami lewicy. Komputer Vigueriego zawiera kilkanaście milionów nazwisk i adresów osób sklasyfikowanych pod względem zainteresowań. W odpowiedniej chwili wysyła się do nich odpowienio przygotowane listy lub broszury, mające przez indywidualnie dobraną argumentację, zmobilizować adresatów do określonego działania - na przykład wysłania dotacji na jakiś cel. Sztuka zbierania funduszy, zdobywanie rynku idei przez maszynerię Vigueriego, umożliwiły Ronaldowi Reaganowi uzyskanie olbrzymiej popularności wśród amerykańskiego społeczeństwa. Tylko w 1984 roku Viguerie Company rozpowszechniła 65 milionów tekstów dla obrony spraw drogich konserwatystom. Richard Vigueire zaczął działać w 1975 roku z kapitałem 300 dolarów, dziś jego firma osiąga obroty rzędu 5 milionów. Sam z zysków korzysta w niewielkim stopniu. Weekendy spędza na roboczych zebraniach w gronie liderów "Nowej Prawicy", w wolnych chwilach poświęca się grze w golfa i makrobiotycznym posiłkom.

Nazwisko **Jerry'ego Falwella** wywołuje w USA bardzo wiele gwałtownych i sprzecznych reakcji. Amerykańscy liberałowie mówią, że prędzej woleliby podpisać pakt z diabłem, niż pojechać do Lynchburga, gdzie urzęduje Falwell. Wątpliwe jest jednak, czy lewicowcy rzeczywiście wierzą w diabła, a co do Falwella, to wygląda on dość poczciwie i mniej trąci siarką niż jego obraz rozpowszechniony przez liberalne środki masowego przekazu. Krzepki, przysadzisty pan pod pięćdziesiątkę, zawsze w garniturze z kamizelką i gładkim krawatem. W butonierce nosi znak - dwie złote stopy z rozwartymi palcami - ślady Chrystusa. Były gracz amerykańskiego futbolu dziś jest pastorem baptystą i symbolem religijnego odrodzenia Ameryki. W 1979 roku założył organizację pod nazwą "Moralna Większość" /Moral Majority/, której ambicją jest przywrócenie Ameryce zdrowia obywatelskiego. Łączy ona skrajnie konserwatywne poglądy polityczne z religijnym fundamentalizmem. W ciągu kilku miesięcy swojego istnienia "Moralna Większość" zdobyła szaloną popularność i miliony sympatyków. Jej program leży w zasięgu wszystkich: przeciw aborcji, przeciw uznawaniu małżeństw między homoseksualistami, przeciw narkotykom i pornografii, za przywróceniem modlitw w szkołach publicznych, za silnym potencjałem obronnym. Falwell ma gotową odpowiedź na wszystko, bo Biblia ma gotową odpowiedź na wszystko. Socjalizm dla niego to tak, jak być niewolnikiem w Egipcie. Wolna inicjatywa wpisana jest w święte teksty. Żydzi uprawiali handel, zatem kapitalizm jest uświęcony. Współpracownicy Falwella to wszystko technokraci, dziwna kombinacja religijnej żarliwości i menadżerskiej skuteczności. Według danych Krajowej Rady Kościołów, liczba wiernych kościołów anglikańskich, kojarzonych w umysłach Amerykanów z tolerancją, liberalizmem i laicyzacją, w latach 1965-78 spadła z 18 do 13 mln. W tym samym okresie baptyści zwiększyli liczbę wiernych z 10 do 13 mln, kościół Świętych Ostatniego Dnia z 1 do 3 mln, adwentyści z 300 tysięcy do 1 mln. Te trzy kongregacje, stanowiące jądro chrześcijańskiego fundamentalizmu, zorganizowane są na wzór autorytarny, nie permisyjny i opierają się na charyzmie swych kaznodziejów.

Betty Friedan z Nowego Jorku, przywódczyni amerykańskich feministek, to niezbyt już młoda, rozwiedziona kobieta. Ma małe mieszkanie, kłopoty z dziećmi, a jej ostatnia książka "The Second Stage" marnie się rozchodzi. Inaczej było na początku - napisana przez nią w 1963 roku "Kobieta zmistyfikowana" rozpoczęła rewolucję feministyczną w Stanach - powstał Ruch Wyzwolenia Kobiet, 'National Organization for Women' i inne organizacje. Betty Friedan wystąpiła, z szeroko później spopularyzowanym, stwierdzeniem, że kobiety amerykańskie, dały się schwytać w pułapkę konsumpcji, spełniają tylko drugorzędne funkcje społeczne i nie posiadają tych samych praw co mężczyźni. Dla Betty Friedan ognisko domowe to "obóz koncentracyjny z wygodami". Liderki feministyczne zajęły czołowe miejsca na ekranach amerykańskich telewizorów. Rozpoczęły walkę o wprowadzenie poprawki do Konstytucji w sprawie równouprawnienia kobiet. Kiedy sprawa wydawała się już tylko formalnością, wtedy na scenę wkroczyła **Phyllis Schafly** "piękne serce milczącej Ameryki", jak ją nazywają jedni, albo też "Joanna D'Arc Partii republikańskiej", jak określają ją inni. Phyllis Schafly jest szczęśliwą matką sześciorga dzieci, elegancka, bardzo bogata, kocha męża i mieszka w okazałym domu nad brzegiem Missouri. Phyllis jest najsłynniejszą kobietą w USA, bo zniszczyła ruch feministyczny. Dzięki prowadzonej przez siebie kampanii nie dopuściła do przyjęcia poprawki konstytucyjnej. Swoje zwycięstwo zawdzięcza kilku faktom. Udało się jej np. obalić słynny argument 59 centów. Według statystyk kobiety zarabiają 59% dochodu mężczyzn - 59 centów wobec 1 dolara. Phyllis Schafley wykazała, że nie jest to wcale dowodem dyskryminacji płci, lecz wynikiem tego, że kobiety wykonują inne zawody niż mężczyźni, pracują mniej godzin, mają krótszy staż pracy, częściej ją zmieniają. W dużej mierze do zwycięstwa Phyllis przyczyniła się radykalizacja feministek, z biegiem lat poprawka do Konstytucji była coraz częściej utożsamiana z lewactwem, z wyzwoleniem seksualnym, ze zniszczeniem rodziny, amoralnością, miłością lesbijską. Phyllis natomiast odwołała się do moralnych uczuć, nader żywych w amerykańskim społeczeństwie. *Popatrzcie na mnie* - mówi - *jestem obrazem amerykańskiego szczęścia, spójrzcie na mój dom, moje dywany, moje skórzane kanapy, widok na rzekę, mój park, moje samochody, moje zdjęcie z mężem i moje sześcioro dzieci. Szczęścia, bo wierzę w głębokie cnoty amerykańskiego credo: religii, rodziny, ojczyzny, pracy, moralności, pieniądza. Popatrzcie na feministki* -dodaje - *ani jednej z nich nie powiodło się w życiu, żadna nie jest dla Amerykanek zwierciadłem, w którym mogłyby rozpoznać siebie.*

Ideały socjalizmu zaczęły mi przechodzić. Co ważniejsze odkryłem w demokratycznym kapitaliźmie duchowe zasoby, których przez dłuższy czas nie chciałem sobie uświadomić. Chwalenie kapitalizmu to pogwałcenie tabu. Ale przecież zadaniem intelektualistów jest kwestionowanie wszystkiego. Słowa te wyszły spod pióra **Michaela Novaka**, amerykańskiego socjologa związanego obecnie z bardzo popularnym kręgiem elity neokonserwatywnej. Są one wyrazem zasadniczych przewartościowań, jakie dokonały się w świadomości wielu dawniej socjal-liberalnych intelektualistów. Obecnie nobilitują oni konserwatywne wartości, obdarzając je cnotami filozoficznymi, zastrzeżonymi dotychczas dla idei lewicowych.
Michael Novak pracuje w warunkach godnych pełnionej przez siebie funkcji dyrektora American Enterprice Institute: biurko z drewna tekowego, sekretarki, boazeria, ekspresy do zaparzania kawy. Na ścianie portrety Jana Pawła II i Ronalda Reagana. Novak - filozof katolicki - doszedł do tych samych wniosków, jakie można znaleść w tradycyjnych protestanckich analizach początków kapitalizmu. Kapitalizm według niego zasadza się na cnotach oszczędzania, poszanowania danego słowa, ducha zespołowego, uczciwości w interesach. Obecnie Novak nie szczędzi sił, by sprowadzić skłaniającą się ku lewicy hierarchię katolicką na stronę konserwatywną.

dokończenie str. 4

Jak to na placówce ładnie

frontacja z kłopotami lub wprost tragediami ludzkimi była i jest bardzo wyczerpująca. Wspominam o tym, bo jeśli w ogóle można znaleźć wśród nas odruchy pomocy lub współczucia to najczęściej w tej codziennej konsularnej szarpaninie. Lecz kolejne przybliżenia, jak coraz dokładniejsze zdjęcia satelitarne precyzyjniej ujawniają moralną topografię także i tego miejsca: szef Wydziału Konsularnego, stary repatriant z Francji - osobnik na co dzień skądinąd rzeczowy i spokojny - prezentował poglądy polityczne tchnące muzealnym monumentalizmem, ale niekiedy i zdumiewająco aktualne: *Na Papieża to by się przydał ktoś z Czerwonych Brygad* /wypowiedź jeszcze z 1980 roku/. Na ogół jednak konsul nie zajmował się wielką polityką: często opowiadał nam rozliczne przygody swej służby: a to o walce, zażartej i niestety przegranej z władzami rumuńskimi o dużą sumę rubli połkniętą i odzyskaną z operowanego żołądka polskiej "turystki". W skomplikowanym wywodzie prawnym Rumuni potraktowali to nieomal jak kopalinę! Albo o warszawskim konduktorze zmarłym po pijanemu in coitio którego trumnę musiało się w pośpiechu ostemplować pieczęcią z napisem *Carne* /mięso/ *de export*. Ale też o niedoszłych polskich uciekinierach do Jugosławii, po których przylatywały z Warszawy dwuosobowe ekipy ubeckie przywożące kajdanki, a wywożąc przy okazji kawę. (...)

Kompleks wyższości, z jakiego już znani jesteśmy na wschodzie Europy, przy równoczesnej, nierzadko wyłącznie konsumpcyjnej ocenie Zachodu, był utwierdzany wyraźnie przez gierkowski *way of life*. Pamięć podsuwa wizytę w Bukareszcie kierownictwa ówczesnego "państwa w państwie - Radiokomitetu. Oczywiście, w ostatniej chwili zabrakło prezesa, słynnego *Krwawego Maciuścia* Szczepańskiego, co w znanym kontekście wydaje się dziś najmniejszą stratą.

W zastępstwie szefa goście zachowywali się jak na egzotycznej właśnie skolonizowanej wyspie, gdzie jedynie władczy sposób bycia jest w stanie uchronić nas przed zbytnią powłatością tubylców. Nie pamiętam, czy Rumuni byli tym bardziej zaszokowani, czy oburzeni, ale zapewne ostatnie przeważyło. A potem, skracając wizytę, delegacja odleciała nagle do Warszawy - na wszelki wypadek przez Frankfurt za dolary, bo jak bez żenady powiedział jej przewodniczący *Musimy sobie jeszcze coś kupić w tax free shop.*

Tymczasem można było wzbudzać zainteresowanie Polską, sugerować tematy rumuńskim intelektualistom /vide ich wyśmienity periodyk "Secolul XX", ewenement na tle kulturalne pustyni jaką pozostaje ten kraj pod rządami Ceausescu/, można było w tym w celu przekupywać nawet wysokich urzędników tamtejszego KC, którym bez słowa /podsłuchy/ podawałem w windzie prezenty owinięte w miejscowy szary papier. (...)

Temperatura naszej pracy podnosiła się gwałtownie przed i podczas oficjalnych wizyt partyjno-państwowych. Potem równie szybko opadała, co między innymi było związane z tradycyjnym znikaniem ambasadora w rezydencji, który po takim napięciu musiał pić dobrych kilka dni. Te odruchy znane są niejednemu, kto się zetknął z komunistyczną manią pracowania "pod" zjazd, plenum, konferencję - równocześnie z wiecznym załatwianiem spraw "na wczoraj". Ale wizyty na najwyższym szczeblu musiały być i były dobrze przygotowane.

Pamiętam pobyt Gierka w Rumunii, kiedy "Pierwszy" /taka formuła była "in"/ rezydował w byłym zamku królewskim w Sinai. 120 kilometrów od Bukaresztu. Codziennie rano pędząc na złamanie karku po wąskiej drodze zawożono mu tam nocny serwis prasowy. Krzaki zagadywały do siebie w stylu: *Tu Brzoza, czy mnie słyszysz?*, a rumuńscy bezpieczniacy jak jeden mąż mieli podniesione kołnierze i czarne skórzane płaszcze, co się od razu kojarzyło z Sergiu Nicolaiescu, popularnym soc-James Bondem, dzielnym oficerem securitate.

Podczas wizyty usłużni gospodarze zorganizowali sklep z kożuszkami w podziemiach willi dla gości. Nikogo to jakoś nie żenowało i biada temu z zewnątrz, kto nie miał dobrych stosunków z ambasadorskim kierowcą! Widziałem też po południu, jak *państwo* wracało helikopterem z polowania na niedźwiedzie, a wśród służby rozeszły się słuchy, że Ceausescu ubił o dwa więcej. Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej, lecz doceniając dyplomatyczny kunszt Rumunów jestem pewien, że w czasie wizyty zapalonego myśliwego, marszałka Tito, proporcje były bardziej wyrównane.

Gdy Conducatorul /rum. Wódz - jeden z oficjalnie przyjętych tytułów Caeusescu/ przebywał w Polsce /maj 1977/ tłum na Okęciu skandował *Caeusescu!* z charakterystycznym właściwym akcentem na pierwsze "u". Znajomy dyrektor z telewizji bukareszteńskiej wyjaśnił: *Ach, dźwięk to już daliśmy sami!* I przypomniało mi się zwierzenie wysokiego funkcjonariusza partyjnego, że okupacyjne zdjęcie z posiedzenia Krajowej Rady Narodowej, znane każdemu uczniowi po ręcznika najnowszej historii Polski, komponowano już po wojnie. *Rozumiecie chyba, że to są drobiazgi.*

Burzą w szklance wody było umieszczenie przez nas na okładce "Polonia azi", pisma wydawanego przez ambasadę, zdjęcia przywódców obu krajów, gdzie na drugim planie widać było jak ptaszki-nierozłączki szefów obydwu obstaw. A Bukareszt huczał od wieści o ucieczce na Zachód jednego z nich, gen. Pacepy. Lecz i tak zdążyliśmy rozesłać numer - już z tą historyczną pamiątką. Wizyta Jaroszewicza w 1977 roku nie była tak barwna, pomijając pastelowe barwy obić na meble, jakie żona premiera zamówiła sobie na *prezent* z taką precyzją, że wprowadziło to w rozpacz rumuńskiego dyrektora odpowiedniego zjednoczenia. (...)

Codzienne zajęcia w ambasadzie wyznacza naturalnie podział obowiązków służbowych. Niektóre stanowiska, jak na przykład radcy 1/s politycznych, tradycyjnie obsadzane są przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Ludzie ci na co dzień śledzą pracowników i - często w oparciu o donosy - wysyłają okresowe raporty do Centrali. Ogólną prawidłowością jest wyraźna hierarchia, choć często ważniejsze są "układy" lub stosunek zażyłości itp. W dyplomacji sowieckiej hierarchię doprowadzano do absurdu i nigdzie nie spotkałem się z równie silnym poczuciem dystansu między pracownikami oraz tak wylocznym konfliktem pokoleń. Również w bułgarskie i cze-

c. d. str. 4

MAREK NOWAKOWSKI - *dok.*

negatywny, ale był to taki stosunek do siły, która jest, ale która dopóki bezpośrednio nie zagraża, to nie ma się nią co zajmować. Może też traktowano ich jako dopust Boży. A czasem było zabawne korzystanie z tej siły. Znałem takiego złodzieja, który dla własnego bezpieczeństwa, większej swobody działania nosił Stalina w klapie.

- Pomagało to coś?
- Pewnie pomagało jak nosił uporczywie.
- Może taki amulet. - śmiejemy się.
- Rzeczywiście, może taka magiczna sprawa. Nie chcecie herbaty?
- Nie, dziękujemy,. Zresztą, jak Pan prosi...
- Nie proszę.
- Proponuje, przepraszam

Między sobą: "pokaż tam te pytania!" Wyłączamy kasetę.

Odprężenie...

- Teraz piszę opowiadanie o takim spotkaniu w pewnej restauracji, która kiedyś była klubem artystów i nie byłem w niej lata całe. I poszedłem po 12-13 latach znowu i zobaczyłem tylko jednego znajomego człowieka, bo już umarła przeszłość, ludzie poumierali, starzy poeci, pisarze, malarze moich lat. To znaczy niekoniecznie oni byli nieskazitelni, tam były i szmaty i konformiści, fagasy systemu. Ale było w nich coś z barwy i z czasów. Spotkałem tylko jednego znajomego człowieka, który był przykrym elementem teraźniejszości. To był taki malarz, który bardzo się ożywił w czasach "Solidarności", entuzjasta tych wydarzeń, pierwszy malował takie płótna olbrzymie z Wałęsą... A wraz ze stanem wojennym stał się najgorszym żyletkarzem nowych porządków. Spotkanie bardzo dziwne, spojrzałem na niego, odwróciłem głowę z niechęcią, nie pragnąłem kontaktu. Pustka tego klubu, śmierć widoczna w tym klubie, śmierć przeszłości. I tylko w nim w tej sali stare, ładne wnętrze, ale też już bez jakiejś urody dawnej. Czy to robi starość już, dojrzałość, czy rzeczywiście tak jest... Tego się nigdy nie rozstrzygnie. Tak? Bo tu wyobraźnia decyduje, nastrój. No i ten malarz. On się przysiadł do mnie. I taka prośba, błaganie w oczach, żebym się zgodził.. I zaczął taki monolog o sobie i o życiu, że on już w nic nie wierzy, że tamten czas to była ostatnia jego wiara, że zrozumiał, że trzeba tylko w rydwanie władzy, że nienawidzi tych, którzy są ciągle wolni, ciągle próbują, bo jak gdyby są dla niego wyrzutem sumienia, jakimś szankrem na jego ciele, sformowanym ostatecznie. Taka dziwna rozmowa.
...

- Pisze Pan dla II obiegu, co ma chyba - prócz zalet - i pewne wady?
- Ja wszędzie bym pisał, jeśliby mnie drukowano. Ale nikt się do mnie nie zwraca. To jest jedna rzecz. A druga - nie mam już ochoty na te wieczne perturbacje z cenzurą. Oczywiście są pewne koszty tego stanowiska, bo mogę za jakiś czas być zupełnie nieznany. Ot, obieg niecenzuralny się skurczy lub zdechnie - ja mówię teoretycznie, bo nie wierzę w taką sytuację.
Skazany jestem na mały krąg czytelników. Ale tu trzeba postawić sobie kwestię w sposób zdecydowany, albo tak - albo tak. Myślę, że dla tego, co chcę robić w pisaniu, to jest dobra sytuacja. Nie mam ciśnienia, staram się go nie mieć, bo mówiąc, że nie mam powiedziałbym zbyt pysznie.
- A czy nie ma Pan ochoty napisać opowiadania o II obiegu, bo tu jest też bardzo różnie i często niedobrze.
- Na razie nie, a zmuszać się nie chcę, bo to też byłoby uleganiu jakiemuś ciśnieniu, gdybym się zmuszał. Ja nie mam negatywnego stosunku do II obiegu. Uważam, że jest to wspaniały wynalazek w Europie Wschodniej. Ale i ten drugi obieg ma swoje ciemne strony i nie należy jego istnienia tylko idealizować - trzeba widzieć i jego negatywne cechy, pewne dewiacje, którym on podlega. Trzeba walczyć z tymi dewiacjami. Trzeba widzieć pewną chorobę, która może go stoczyć. Swoisty rak zamknięcia, getta, gotowanie się we własnym sosie, tworzenie własnego fikcyjnego świata. Kolejnego fikcyjnego świata w tym zniewolonym kraju. To są te niebezpieczeństwa i trzeba z nimi walczyć. Tym bardziej, że II obieg jest wielką szansą dla literatury.
Najważniejsze jest jedno - już teraz poważnie mówię, bo tak sobie przecież żartujemy, nie ma co mówić poważnie.
- Właśnie, teraz już bez spławiania i olewania.
- To już będzie ostatnia rzecz, żeby nie mówić za dużo. Najgorsza rzecz - to mówić poważnie. A jeszcze gorsze jest mówić po kapłańsku, z namaszczeniem, z taką wielką powagą człowieka idei, walki moralnej, postawy, zasad. To zawsze jest fałsz. To zawsze podszyte jest czymś nieprawdziwym.
Nie wierzcie tym kapłanom! Nie wierzę w ten styl patetyczny, krzyk, który rozlał szeroką strugą, w takie jakieś bardzo namaszczone kazania, wezwania, przesłania. To werbalizm, to słowa, słowa, słowa. W literaturze należy czekać na teksty - nie to, co się o niej mówi, co mówią pisarze o sobie - to jest rzecz druga, a może trzecia. To, co piszą jest najważniejsze. Pisarze w ogóle powinni milczeć. Tekst jest ich głosem, ich wypowiedzią. To, co mówią, komentują, to jest gawędziarstwo. Mam jedną zasadę - nie wstydzę się, nie wypieram - nie w sensie, że to są wspaniałe teksty - nie jestem tak próżny - nie wstydzę się żadnego mojego tekstu.
Napisałem wszystko to, co chciałem. Nigdy nie byłem pod żadnym ciśnieniem. Mówię nie tylko o autocenzorze politycznym - nie myślcie, że zawężam - mówię też o autocenzorze obyczajowym, autocenzorze kreacji pysznej. Każdy tekst który napisałem, napisałem z ochotą, z potrzeby.
- Co do tych cenzorów...
- Przepraszam. Jeśli można. Jest jeszcze jedna rzecz poważna: żeby pisarz, jeśli naprawdę chce być pisarzem, starał się pisać to, co czuje, to co chce, bez względu na okoliczności, mody, sprzyjające lub niesprzyjające czynniki, nawet na przekór, nawet przeciw, jeśli taka jest jego potrzeba. Żeby się nie naginał, żeby nie ulegał. Wtedy się zrobi jakąś fordanserką, a nie pisarzem.
- Czyli nie ma służyć społeczeństwu, pisać prawdy za wszelką cenę?
- Przecież ja mówię o czymś innym - głębszym i ważniejszym. Żeby pisał to, co mu dyktuje jego sumienie.
- Ja nie namawiam Pana, żeby Pan służył społeczeństwu, ale nie od wczoraj takie głosy się pojawiają, również "u nas", w II obiegu. W każdym razie są takie "trendy".
- Ja mówię o uczciwości wobec swego pisarskiego gospodarstwa. To jest co innego, bo polega na tym, żeby nie ulegać żadnym ciśnieniom. To jest jedyne kryterium uczciwości pisarskiej..
- Co dalej w Pana życiu literackim? Nie czuje Pan, że powoli się Pan wyczerpuje... No, przecież sam Pan powiedział...
- Nie wiadomo. Uważam, że to jest rzecz okrutna ale i konieczna, żeby mieć świadomość kiedy pisać, a kiedy przestać pisać. Chociaż to trudne, bo człowiek popada w taką zatratę kontroli i może się zagubić - pisać, powielać się, może być takim zgredziarzem, który już nie ma nic do powiedzenia a coś pisze. To jest dramatyczna sprawa.
- To znaczy jest Pan już nałogowcem?
- Ja powiedziałem trochę żartem, trochę serio. Pisanie jest, stało się dla mnie azylem, moim światem wolności i mam pisanie teraz jako formę życia, jako sposób na życie. I chciałbym aby to, ta wolność, jak najdłużej trwało. Jest to moja ostoja, bastion. Ten skur... co stoi na ulicy, nie psuje mi humoru. Tu jestem panem, demiurgiem, robię co chcę. I chciałbym tę wolność zachować. To jest jedyna moja wolność, najcenniejsza. Żeby na tych karteczkach wypisywać jakiś swój świat, żeby on miał jakiś rodzaj sensu artystycznego, żeby był jakąś moją prawdą. Rodzajem rejestracji mojego życia w tym wszystkim.

Jak to na placówce ładnie

chosłowackiej ambasadzie panoszyła się bezwstyd na eksploatacja młodazych pracowników. Jeśli chodzi o Bułgarów wynikało to może i z faktu, że na wyższe stanowiska dyplomatyczne tradycyjnie posyła się tam w nagrodę wysłużonych weteranów partyjnych. Zaś współczesna czeska dyplomacja stoi - nawet przy tak ostrej konkurencji "w dół" - na szczególnie niskim poziomie zawodowym i moralnym.

Pozycję i niezwykle szerokie prerogatywy ambasadora określają w praktyce krajów podsowieckich szczegółowe wytyczne Biura Politycznego, które rozpatruje i zatwierdza kandydatury szefów placówek. Rola MSZ jest w tym mechaniźmie minimalna. Zawsze pozostaje ponadto dodatkowy margines swobody działania, który ambasador może wykorzystać na przykład na zastraszenie pracowników, wzajemne ich szczucie na siebie czy osobiste pozaprawne wzbogacenie się.

W okresie, gdy ambasadą w Bukareszcie kierował Władysław Wojtasik, tj. do 1979 roku, fenomen ten można było doświadczyć w niebywałym wprost natężeniu. Psychiczny terror, poniżanie pracowników, nawet żałosne parodiowanie szlacheckiego sposobu bycia - było czymś powszednim. Kafkowsko-nierealną atmosferę potęgował alkoholizm Wojtasika do tego stopnia, że całość pracy, konsultacje, wysyłanie notatek itp. musiało być sprzężone z aktualnym stanem jego zdrowia. Wszystko to nawet jak na stosunki MSZtowskie, było niecodzienne i w istocie wymagało by diagnozy z zakresu patologii klinicznej. Nie przeszkodziło to, że władze warszawskie - zapewne doceniając milicyjną przeszłość Wojtasika - awansowały go na dyrektora Departamentu Konsularnego MSZ, a potem ambasadora PRL w Pekinie, jednym z najwrażliwszych miejsc w świecie z punktu widzenia stosunków międzynarodowych.

Aparat codziennego szpiclowania może być na placówce bardziej czy mniej rozbudowany. Pomijam śledzenie pracowników przez szyfranta, który *inaczej nie może* i to najdosłowniej. Zrozumiała też była w naszym przypadku rutynowa obserwacja gości i notowanie numerów samochodów przez miejscowego milicjanta. Naturalnie, pracownicy rumuńscy, na przykład kierowcy, byli rekrutowani z bezpieczeństwa - w przeciwnym przypadku tzw. Oficiul /specjalne biuro obowiązkowego pośrednictwa pracy/ w ogóle by ich do nas nie skierował. Również nasze mieszkania miały podsłuch telefoniczny. Natomiast, poza zwykłe normy wychodziło obsadzenie ambasady stałą kilkuosobową ekipą polskich oficerów bezpieczeństwa, którzy rzekomo pilnowali obiektu w czas jego remontu po trzęsieniu ziemi z marca 1977 roku. Piszę *rzekomo*, bo u podstaw tak niezwykłych środków bezpieczeństwa w bądź co bądź *bratnim* kraju leżała też prywatna polityka ambasadora: oficerowie otrzymywali bardzo wysokie gaże, często się zmieniali, więc w efekcie przez placówkę przewinęła się wcale pokaźna grupa ludzi z Bardzo Wysokiego Urzędu, którzy mieli powody do osobistej wdzięczności szefowi. W sumie jednak ich obecność była dyskretna, a pracę mieli przenudną. (...)

Część zadań informacyjnych wypełniali nasi stali korespondenci prasowi, którzy z zasady mieli łatwiejszy dostęp do Rumunów niż dyplomaci. Doprawdy, trudno jednak ich rolę porównywać np. z czysto agenturalną działalnością radzieckich żurnalistów, jacy w zastraszających ilościach przebywają czasami szereg lat w kraju urzędowania! Zasadą też jest, że co najmniej jeden z korespondentów ma obowiązek stałego roboczego współpracowania z MSW. Pozostali wiedzą, że są obserwowani, ale w czasach solidarnościowej burzy i naporu w ten system najwidoczniej wkradły się luki. Potwierdziła to brawurowa ucieczka na Zachód z Bukaresztu w grudniu 1981 roku byłego korespondenta radia i tv red. T. Wojciechowskiego z rodziną.

Ogólnie, w czasie kilkuletniego pobytu na placówce dają się wyróżnić trzy etapy poznawania środowiska: stadium nieufności i jednakowej ostrożności w stosunku do wszystkich, co pokrywane jest ostentacyjnym prezentowaniem wyśmienitego samopoczucia; potem etap, który nawłaściwiej mógłby scharakteryzować klasyk literatury rosyjskiej: *Jest tu u nas w miasteczku jeden porządny człowiek, ale i on prawdę powiedziawszy - bydlę!* Oraz trzeci, kiedy już potrafimy bezbłędnie oddzielić pozę i barwy ochronne od prawdziwych cech charakteru. W sytuacji, która od początku ma tyle odstręczających właściwości pojawia się tu i ówdzie sympatia, autentyczna pomoc, limitowane zaufanie - i jakoś łatwiej przetrzymać ten cały okres.

Na placówce przebywa się zwykle cztery lata. Dyplomaci zachodni są krócej, ale oni nie wracają za każdym razem do Centrali na "reedukację". Rosjanie też w rytmie czteroletnim postawili na specjalizację, przypisanie ludzi do określonego regionu lub kraju w ciągu całej kariery zawodowej. (...)

Na przeciwległym krańcu naszej moralnej zgrzebności znajdowała się w Bukareszcie ambasada Filipin, niemal w całości opanowana przez żeński personel. Na czele placówki stała bliska znajoma Marcosa, skądinąd osoba bardzo inteligentna. Obecnie pisała także przedmowy do Dzieł Zbiorowych Pana Prezydenta, wydawanych na wspaniałym kredowym paierze. Otrzymywaliśmy je w imponujących ilościach, a z tekstu bił radosny optymizm oświeconego absolutyzmu. Chodziło się więc do *Filipinek* na niezliczone przyjęcia, wernisaże i pokazy filmowe, w czasie których obełtgę stanowili byli komandosi z Wietnamu Południowego. Sposób bycia, pewność siebie i lekko dostrzegalna nonszalancja wskazywały, że ich funkcje w tym miejscu wykraczały nieco poza kuchnię. Lecz i tu prędko dotarł zdrowy nurt moralności socjalistycznej: kiedy związek jednej z Filipinek z Rumunem posunął się za daleko, młodego mężczyznę z miejsca wcielono do wojska, a zrozpaczona matka wyjechała do Genewy nie wiedząc czy ich syn kiedykolwiek zobaczy ojca. (...)

Ostatni zapamiętany obraz: w pijackim *kochajmy się!* Rosjanin z Bułgarem - szefowie wydziałów prasowych ambasad, szepczą sobie coś do ucha. I nagle widzę, widzę wyraźnie, jak ta ręka, która nie obejmuje *towarzysza* sięga za kotarę i uruchamia stary szpulowy magnetofon. Mechanizm rusza wolno jak karuzela w wesołym miasteczku. Tak tak - rozwój przyjaźni też domaga się postępu technicznego. (...)

Jerzy Bahr

/ za Kontakt 4, 1986 /

Po wielu woltach Gorbaczow zdecydował się jednak przybyć do Waszyngtonu na spotkanie z prezydentem Reaganem, które miało miejsce w dniach 7-10 grudnia 1987 roku.

Szczyt amerykańsko-radziecki był planowany od dawna, jednak Gorbaczow próbował długo z samego faktu spotkania uczynić poważny argument przetargowy. Uzależnił je od rezygnacji przez Stany Zjednoczone z prac nad Inicjatywą Obrony Strategicznej /SDI/. Toteż gdy w końcu października 1987 roku amerykański sekretarz stanu George Shultz przybył do Moskwy aby sfinalizować ustalenie terminu szczytu i jednocześnie wyznaczyć podstawowe zasady projektowanego układu, ze zdumieniem usłyszał, że żadnego spotkania nie będzie dopóki USA nie zrezygnują z SDI.

Podobnie było podczas dwóch poprzednich szczytów amerykańsko-radzieckich, w Genewie i Reykjaviku: Gorbaczow przez cały czas zajmował postawę wyjątkowo elastyczną - zgadzał się na bardzo wiele, praktycznie wszystko akceptował, by w końcu wszystko uzależnić od amerykańskiej rezygnacji z SDI.

Reagan przejrzał jednak ową taktykę i zareagował stanowczo: *Jeżeli Gorbaczow w ogóle prowadzi jakąś grę, to gra on z samym sobą.* Taktyka radziecka spotkała się z krytyką opinii międzynarodowej. Na przykład włoska "La Stampa" pisała w artykule redakcyjnym u schyłku października: *prawdziwą przeszkodą na drodze do spotkania Gorbaczowa z prezydentem Reaganem i światowego odprężenia nie jest amerykańska obrona strategiczna, ale żelazna stalinowska forteca, która nadal otacza partię, przemysł, rolnictwo, domy, przywileje i umysły w Związku Radzieckim.*

Stosunkowo szybko sam Gorbaczow - troskliwie dbający o swój wizerunek w świecie - przekonał się, że istotnie gra sam z sobą i zmienił zdanie, ostatecznie decydując się przybyć do Waszyngtonu.

Spotkaniu towarzyszyło ogromne podniecenie - akredytowano prawie 10 tysięcy dziennikarzy - spowodowane tematyką szczytu i zainteresowaniem dla osoby radzieckiego przywódcy, który uchodzi w oczach poważnej części zachodniej opinii publicznej za symbol dokonujących się w ZSRR reform. Niektórzy sądzą, że Gorbaczowowska *Głasnost' i pierestrojka* stanowią pierwszą w historii próbę rzeczywistego przebudowania systemu radzieckiego. Szczyt przebiegał w atmosferze poważnej, a nawet podniosłej i przyjaznej, aczkolwiek Reagan w oficjalnym przemówieniu przyznał, że nie jest to spotkanie sojuszników, lecz przeciwników.

Najważniejszym punktem waszyngtońskiego spotkania było podpisanie układu przewidującego zniszczenie wszystkich amerykańskich i radzieckich rakiet o zasięgu od 500 do 5500 kilometrów. Reagan określił je jako najważniejsze wydarzenie w powojennej historii redukcji zbrojeń, natomiast Gorbaczow nazwał układ zwycięstwem zdrowego rozsądku.

SZCZYT

Z pewnością jest to przełom w zakresie redukcji zbrojeń. Niemniej jednak likwidacja obejmuje zaledwie 4% arsenałów nuklearnych supermocarstw.

Aby układ wszedł w życie musi zostać ratyfikowany przez amerykański Senat większością 2/3 głosów, z czym mogą być pewne problemy. Grupa senatorów, szczególnie konserwatywnych republikanów, uważa, że sposoby weryfikacji postanowień układu nie są wystarczająco skuteczne. Twierdzą oni, iż ZSRR wszystko podpisuje, lecz niczego nie zamierza przestrzegać. Jeden z senatorów pragnie zgłosić poprawkę, według której układ miałby wejść w życie dopiero po usunięciu przez Związek Radziecki skutków łamania uprzednio zawartych porozumień, których strona radziecka nie dotrzymała. Ponadto senatorzy ci są przekonani, że omawiany układ likwidując po części nuklearne środki odstraszania, osłabia bezpieczeństwo USA i pozostałych państw NATO wobec poważnej przewagi radzieckiej w broni konwencjonalnej. Oblicza się, że w Środkowej Europie ZSRR posiada kolosalną przewagę liczebną 48 tysięcy czołgów i 30 tysięcy dział podczas gdy NATO tylko 20 tysięcy czołgów i 15 tysięcy dział.

Większość polityków amerykańskich mówi jednakże o doniosłości układu, podkreślając konieczność dalszych prac nad redukcją zbrojeń, przy jednoczesnym niezapominaniu o prawdziwej naturze systemu sowieckiego.

Przywódca większości demokratycznej w Senacie, Robert Bird, tak oto sformułował tę myśl: *Musimy pamiętać o jednym, a mianowicie, że ustrój komunistyczny się nie zmienił. Musimy pamiętać o tym, co powiedział Chruszczow: "Niech się wam nie zdaje, że zapomnimy o Marksie, Engelsie i Leninie. Zostaną zapomnieni wtedy, kiedy łabędzie nauczą się śpiewać". Mamy więc obecnie do czynienia ze zmianą taktyki, z innym przywódcą, ale nic nie świadczy o tym, by ustrój komunistyczny, radziecki ustrój komunistyczny, uległ zmianie. Myślę więc, że powinniśmy się mieć na baczności, ale zabiegać zarazem o poprawę stosunków.*

Zawarty w Waszyngtonie układ ma stanowić wzór następnego porozumienia o redukcji o połowę rakiet - tym razem międzykontynentalnych - co prawdopodobnie nastąpi podczas następnego spotkania na szczycie planowanego na maj 1988 roku w Moskwie.

W orędziu wygłoszonym do narodu Reagan przyznał, iż rozmowy nie poszły tak dobrze, jak można było się spodziewać. Nie osiągnięto bowiem żadnego porozumienia w zakresie praw człowieka i konfliktów regionalnych. W tych sprawach Gorbaczow nie był skłonny do jakiegokolwiek kompromisu. Prezydent stwierdził: *O ile upór daje rezultaty w zakresie kontroli zbrojeń i redukcji zbrojeń, sprawy praw człowieka i konfliktów regionalnych stale są problemem w naszych stosunkach.* A także iż *autentyczne zaufanie i bezpieczeństwo międzynarodowe są nie do pomyślenia bez otwartych społeczeństw, wolności informacji, wolności sumienia, prawa do publikowania i prawa do podróżowania.*

Związek Radziecki do spełnienia tych wymogów nie wydaje się być przygotowany. Tak więc do rzeczywistego i pełnego odprężenia oraz znaczącej poprawy klimatu międzynarodowego wiedzie jeszcze długa droga.

Jan Wer

* Podsumowanie roku 1987 *

GIEŁDA PROMIENISTYCH

Dzisiejsza "Giełda" jest nietypowa - miast proponować i oceniać wydarzenie kulturalne ostatnich tygodni, chcemy przypomnieć - opierając się również na poprzednich odcinkach "GP" - to, co ciekawego wydarzyło się w kulturze w roku 1987. Raz, dlatego, iż koniec roku sprzyja wszelkim podsumowaniom; dwa dlatego, że jak żaden inny okres obfitowało ubiegłe 12 miesięcy w to, z czego najbardziej się cieszy niniejsza rubryka - w przekraczanie /w obie strony/ barier dzielących pole kultury na "oficjalną" i "podziemną".

Wśród elementów istotnych przy ocenie tych zjawisk chcielibyśmy zostawić tylko ich twórczą niezależność, ich wartość.

Najczulszym rejestratorem wszelkiej "odwilży" jest oczywiście prasa

P R A S A

Gdybyśmy mieli przyznawać honorowe wyróżnienia "Giełdy Promienistych", to na pewno otrzymałyby je:

- w pewnym sensie "nowy" miesięcznik **"RES PUBLICA"**: znakomita szata graficzna przypominająca jego podziemny rodowód, ciekawe teksty - od sztuki po gospodarkę i rozsądna, liberalna linia ideowa, sprawiają iż "Res Publica" stała się jednym z największych wydarzeń kulturalnych tego roku.

- miesięcznik księży Michalitów **"POWSCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"**, który reklamowaliśmy już ponad dwa lata temu, stracił być może w ubiegłym roku nieco swojego początkowego impetu, ale i tak należy do wybijających się "firm", a teksty Żakowskiego czy Śpiewaka czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem.

A trudno przecież nie docenić innych tytułów prasy katolickiej: nabierającego jakby drugiego oddechu **"TYGODNIKA POWSZECHNEGO"** miesięczników **"WIĘŹ"** i **"W DROGZE"**, czy "odnowionego" **"ŁADU"**. Gorzej, szczerze mówiąc z prasą podziemną, ale to głównie dlatego, iż jej nieregularność uniemożliwia pełną ocenę /choć np. krakowska **"ARKA"** to pismo zacne i profesjonalne/. Tym niemniej zauważyć należy **"KULTURĘ NIEZALEŻNĄ"** /ustabilizowany, rzetelny poziom/, stare firmy **"TYGODNIK MAZOWSZE"** /kultura informacji/, **"PNA"** atrakcyjność formy/ i miesięcznik, niestety zbytnio nie zauważony, gdańskich WIPowców **"A CAPELLA"** - pismo dowcipnie redagowane, o nietuzinkowej szacie graficznej.

Warto wiedzieć co porabia prasa, którą trudno inaczej nazwać jak reżymową, czyli po prostu kiepską. Wspominaliśmy już jak to niektóre z pism dostają "licencje" na rzeczy "niecenzuralne"... Każda, nawet najbardziej prowincjonalna gazeta "pozwala sobie" a to na zrecenzowanie książki wydanej w podziemiu, a to na streszczenie bezdebitowego filmu oglądanego na video. Ostatnio pojawiły się nowe praktyki: różne tygodniki, chcąc w jakikolwiek sposób pozyskać czytelnika, na wyścigi rozpoczęły publikacje literatury do niedawna jeszcze zakazanej... Na przykład: "Życie Literackie" - "Doktora Żywago" Pasternaka w tłumaczeniu "własnym" /Promieniści, 8 VI 87/. Jednak w miarę upływu czasu szczeliny cenzury powiększają się /między innymi dzięki drugiemu obiegowi/, a władza ma coraz mniejsze możliwości manipulacji - tu warto /jako przykład pozytywny/ wymienić profesjonalnie redagowaną **"LITERATURĘ NA ŚWIECIE"** która - jak się wydaje - wykorzystuje dzisiejsze możliwości.

K S I Ą Ż K I

Wbrew sarkaniom wielu zblazowanych krytyków, w ostatnim czasie trafiło w ręce czytelników kilka bardzo wartościowych książek - pierwodruków: biograficzny esej o Mickiewiczu **Jarosława Marii Rymkiewicza "ZMUT"** /Nowa '87/, **"HAŃBA DOMOWA"** - rozmowy przeprowadzone przez **Jacka Trznadla** z twórcami współczesnymi polskiemu socrealizmowi /Andrzejewski i inni/ czy **"POCZĄTEK" Andrzeja Szczypiorskiego** "jedna z najlepszych powieści krajowego samizdatu" /Promieniści, 2 III 87/ Największymi wydarzeniami stały się jednak niewątpliwie:

1. wydane pod koniec 1986 roku dwie książki **IGORA NEWERLEGO** - powieść **"WZGÓRZE BŁĘKITNEGO SNU"** ""Czytelnik"/ i powieść biograficzna **"ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW"** /"Nowa"/. W pewien sposób znakomite obie "książki stanowią całość i uzupełniają się mówiąc o losach polskich rewolucjonistów od lat 60-tych ubiegłego stulecia walczących... o Polskę". I nie sposób nie zauważyć, że "tak to przeplatało się życie, historia i... obieg oficjalny z niezależnym. Oby tylko zawsze dawało to takie rezultaty" /Promieniści, 13 IV 87/.
2. **"KADENCJA"** Jana Józefa **SZCZEPAŃSKIEGO**, czyli "historia ZLP widziana oczami jego prezesa wybranego w gorącym 1980 roku" /Promieniści, 8 VI 87/.

Tak, to niewątpliwie był największy "hit" drugiego obiegu lat ostatnich /recenzowały ją i "Trybuna Ludu" i "Żołnierz Wolności" - co jest, złośliwie mówiąc, najlepszym dowodem na przenikanie "bibuły" do nawet najbardziej impregnowanej świadomości czerwonych/. Przy okazji tej książki zauważyć warto

W Y D A W N I C T W O,

w którym się ukazała. Krakowska **"OFICYNA LITERACKA"**, dbająca przede wszystkim o artystyczny i edytorski /a nie ideologiczny/ poziom swoich książek, w opinii wielu kolporterów zdystansowała zdecydowanie nawet największe warszawskie wydawnictwa. "Tamte brzegi" Vladimira Nabokova, "Agitka" Anny Bojarskiej, "Lekcja rewolucji rosyjskiej" Martina Malii czy pierwszy krajowy przedruk - jak zwykle niesłychanie staranny i relatywnie tani - "Oddziału chorych na raka" Aleksandra Sołżenicyna, to bezsprzecznie najbardziej poszukiwane książki.

F I L M

Niestety, spośród filmów, które przedstawia nam minister Krawczuk, przeważają te, w których bohaterowie w stylu wschodnim targają się po szczękach.

Tym bardziej godne uwagi były **"MISJA"** **Rolanda Joffe** /Promieniści, 11 IV 87/, przemykający po ekranach DKF **"RAN"** Kurosawy /Promieniści, 23 XI 87/ czy filmy polskie: **"MAGNAT"** **Filipa Bajona**, **"MATKA KRÓLÓW"** **Janusza Zaorskiego** i **"W ZAWIESZENIU"** **Waldemara Krzystka** /te dwa ostatnie to znakomite obrazy ukazujące lata stalinowskie w Polsce/. Niestety, choć mamy już sporo ciekawych filmów polskich i ponoć wycofane zostały z półek, tak się jakoś składa, że w kinie ich nie uświadczysz.

I kończąc to podsumowanie "ubiegłego roku kulturalnego" można sobie tylko życzyć: obyśmy mogli w roku 1988 wynajdywać jeszcze więcej filmów, książek, koncertów, wystaw i pism. I oby jak najrzadziej nasz zdegustowany sprawozdawca tytułował swoje recenzje "To nie było wiele warte".

Tych "niewiele wartych wydarzeń", by krwi sobie nie psuć, tym razem nie przypominamy.

LUDZIE KONSERWATYWNEJ REWOLUCJI - *dok.*

Merle Haggart tak śpiewał w 1982 roku:

Czy stare czasy na dobre odeszły...
Czasy gdy kraj nasz był silny
Zanim wybuchła wojna w Wietnamie
Przed Beatlesami i Yesterday.
Chciałbym by Ford i Chevrolet
Znów dziesięć lat jeździły
By Coca Cola nie zwała się Coke
Tak było przed piecami mikrofalowymi
Kiedy dziewczyny jeszcze gotowały...
Przestańmy staczać się z górki
Powstańmy, by cześć oddać sztandarowi
Niech Ford i Chevrolet znów dziesięć lat jeżdżą
Najlepsze z życia w wolności jest jeszcze przed nami
Stare czasy wcale jeszcze nie odeszły.

Opracowano na podstawie książki Guy'a Sormena "Rewolucja konserwatywna w Ameryce" - wyd. KURS

FILIP

moje niesłuszne poglądy

CZYJĄ NAUCZYCIELKĄ JEST HISTORIA?

Z dawien dawna wielu ludzi interesujących się historią i polityką opętanych było wynajdywaniem racjonalnej interpretacji dziejów i wydarzeń. Znalezienie czegoś w rodzaju prawa niemalże matematycznego, którego znajomość tłumaczyłaby wszystko. Dla ubogich intelektem interpretacji tej dostarczają rzekome knowania Żydów i masonów. Ambitniejsi stosują jednak metody, jak im się zdaje, racjonalne./por. socjalizm naukowy/. Pożywki dostarcza im tu historia, o której lubią mawiać "historia magister vitae est" albo "historia nas oceni". Nie trzeba dodawać, że w ich mniemaniu tylko oni poznali prawdziwe jej prawa. Mówiąc prawa, myślą: jeżeli A a po nim B, to po nich koniecznie C. Jeżeli najpierw feudalizm, a potem kapitalizm, to na końcu obowiązkowo socjalizm i - świetlana przyszłość - komunizm. Jeżeli zapytać "dlaczego?", odpowiedzą "bo tak wynika z logiki dziejów". Ale nie czepiajmy się komunistów. Czyż nie słyszeliśmy nigdy, że Rosja /ZSRR/ już upada, bo na podstawie dziejów świata możemy zbudować prawo upadku imperiów - ekspansja, rozkwit, stagnacja, upadek. Jasne, że najpierw coś musi powstać, żeby musiało upaść, ale co, gdzie i kiedy, to już raczej trudno powiedzieć. Na każdy kontrargument, podający przykłady psujące ów sielski obraz, usłyszeć można: "przypadek potwierdza regułę" /głos schizokatastrofisty/, albo "gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą" /głos fanatyka świetlanej przyszłości/ lub "to, co dzieje się teraz, u nas, to akurat punkt nieciągły i dlatego nie pasujący do cyklu czy też linii historii" /głos "realisty"/.

Znakomite podstawy dla czarno-białego postrzegania świata i przestrzegania "logiki" historii daje "ukąszenie heglowskie". Teza-antyteza-synteza, co w formie uproszczonej propaguje się w każdym programie szkolnym dotyczącym przedmiotu humanistycznego jako nieustanną walkę przeciwieństw, które - znosząc się - posuwają naprzód historię. /Jeżeli tych przeciwieństw brak, to się je wynajduje./ Malarstwo i sztuki piękne renesansu? Nieustanna walka humanistycznych ideałów z kościelnym mecenatem. Polska literatura romantyczna? Z jednej strony "konserwa" i Krasiński, z drugiej Norwid, światłe krytykujący przywary elity polskiej. Przykłady takie można mnożyć /zerknąć trzeba do podręczników dla szkół średnich/.

Tymczasem historia uczy każdego tylko tego, co on chce. I może w niej znaleźć tyle samo "pomocnych" przykładów każda ze spierających się stron. Można porównywać w niej wszystko ze wszystkim, ale na tym koniec. Myśl, że znajdzie się w niej klarowną wykładnię, która w dodatku ma starczyć na dziś i na jutro, jest albo złudzeniem albo świadomym oszustwem. A nade wszystko intelektualną łatwizną - zamiast poznawać i wnikać w wielość i barwność każdego okresu historycznego, łatwiej wszak podzielić sobie wszystkie fakty na lewo i na prawo, porozdawać etykietki i badać tak stworzone "mechanizmy dziejów".

"Na lewo most, na prawo most, a w dole Wisła płynie..." - tę bzdurną cytatę chciałbym zadedykować twórcom bzdurnych koncepcji.

Budyń